

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.

S. Matusiak.

COMBER.

2)

Otóż w podobny zupełnie sposób poradziła sobie fantazyja ludowa z nazwiskiem Combra w Krakowie. Mamy zdawna wyraz czub, a dyalektycznie czuber w znaczeniu wierzchołka jakiegokolwiek rzeczy, a więc i wierzchołka głowy ludzkiej. Stąd długie włosy na swej głowie przewali Mazurzy cubrzyną, stąd dalej u nich cubrzyć znaczy „targać za włosy“. Zamiast combrzyć wymawiają mieszczenie cumbrzyć, co przy nosowem brzmieniu dźwięku um, zbliża się do cubrzyć. Chwyciła się tego fantazyja ludowa i podsunęła myśl, że ów niedobry wójt krakowski czy burmistrz dlatego Combrem (Cumbrem) się nazywał, że biednych ludzi cubrzył t. j. za włosy targał. I jeżeli odtąd nawet „na tę pamiątkę“ zaczęto przy tej zabawie za włosy targać, to było wynikiem owego domysłu fantazyi ludowej, która Combra (Cumbra) od cubrzenia wywiodła; jakoż poza tą powiastką krakowską nic o cubrzeniu przy Combrze zresztą nigdzie nie słychać; uwierzono baśni, a potem nawet podług niej postępowano. Tak fantazyja ludowa objaśniła sobie niezrozumiałą nazwę combra; zobaczmyż teraz, co w tej sprawie może powiedzieć nauka.

Przedewszystkiem rzecz językowo ciekawa i ważna, że lud krakowski mówił nie tylko combrzyć, ale także sombrzyć; że zatem używał nie tylko formy comber, od czego combrzyć, ale także *somber, od czego sombrzyć. W Kieleckim obok combrzyć od comber mówiono cembrzyć,

co znowu jest wskazówką, że tam mówiono także cember obok comber, w czym nie ma nic dziwnego, gdyż w języku naszym wymiana dźwięków *q* (= *om*) i *ę* (= *em*) jest nader częsta: dość przypomnieć dąb i dęby, ząb i zęby, rząd i rzędy; jednozgólkowa forma ma zwyczajnie *q* (*om*), więcejzgólkowa *ę* (*em*), z czego wynika, że wzorową polską formą jest combr (jako jednozgólkowa), tudzież cember (jako więcejzgólkowa). Z czasem jednak musiało przyjść do zamieszania i pojawienia się formy comber obok combr, a dalej i combrzyć obok cembrzyć. Ale mniejsza o tę wymianę między *om* a *em* w tej nazwie, daleko ważniejszą rzeczą w tem wszystkim jest to, że wyraz ten wymawiano nie tylko z początkową spółgłoską *c* (comber), co jest rzeczą powszechną, ale także niekiedy z początkową spółgłoską *s* (somber), a gdzie w wyrazie taka zasadnicza niepewność, tam on zwyczajnie obcy. Jakoż nie jest to wyraz ani polski, ani wogóle jakiegokolwiek słowiański, lecz — powiedzmy to odrazu — niemiecki. Co to za wyraz?

W dzisiejszej niemczyźnie brzmi on Zimmer i oznacza „izbę, zabudowanie drewniane“ (Holzbau), lecz w średniej górnioniemczyźnie brzmiał Zimmer, a w starej górnioniemczyźnie Zimbari oznaczał pierwotnie tyle, co „pień, kłoda, drzewo, kłoc“. Wszystkie te formy i oznaczenia wyrazu odbiły się żywo i bardzo wyraźnie w naszym języku.

Podług praw naszego języka forma Zim-

mer powinna w ustach naszych zamienić się na *cēmer, ze zmianą rodzaju na żeński — cēmra; forma zaś Zimbr na cember = cēber; to znowu, jak już wiemy, na jednozgłoskowe combr = cąbr, a z czasem i comber. Ponieważ Kaszubi i Mazurzy pruscy w niektórych okolicach literackie *ē* wymawiają jak *an* (*an*), więc też u Kaszubów i tych Mazurów cēmer powinien brzmieć camer, a cembra zwać się cambra; jakoż u Kaszubów mamy wyraz camer, a u Mazurów pruskich cambra w znaczeniu „pień, kłoda, drzewo, kłoc“¹⁾. Znany to zresztą wyraz całemu ogółowi polskiemu w formie cembra lub cębra, tudzież w formie cembrzyna lub cębrzyna (jak od izba mamy izbina, tak od cębra — cębrzyna) w znaczeniu „zabudowania około studni“, w znaczeniu, które, jak to każdy sam widzi, wyłoniło się ze znaczenia niemieckiego „Holzbau“. Zna też ten wyraz również staropolszczyzna w obu przytoczonych wyżej znaczeniach, a w formie nie tylko cembra, cębra, ale także w formach czambr i czamr, jak się można przekonać ze słownika Lindego. Przeszła do języka staropolskiego i forma starej górnioniemczyzny Zimbar, a brzmiała u nas to *szymbór (= szębór), to *sombór (= sąbór, sębór) i znaczyła to samo, co „drzewo“; stąd poszły przymiotniki: *szymborz-a-e i *somborz-a-e, od nich zaś wyrażenia szymborza i somborza, pierwotnie z dodatkiem wieża, potem bez tego dodatku w znaczeniu turris lignea, „wieża drewniana“, wyrazy, znane u nas już w wieku XIV i w następnych²⁾.

A po tem objaśnieniu nazwa tej zabawy zapustnej i sama jej istota jest zupełnie zrozumiała i jasna: comber to dawna nazwa „drzewa, kłody, pnia“, który w „ostatki“, a zwyczajnie we wstępną środę musieli „za karę“ publicznie po ulicach ciągnąć, dopóki się nie okupili, ci kawalerowie i dziewczki, którzy się w karnawale upływającym nie pożenili; nazwa tak samo niemiecka, jak późniejsza kłoc, pod którą ta sama zabawa zdawna znana jest w Polsce, a i do ostatnich czasów niemal wszędzie.

3. Kłoc w Krakowie i poza nim.

O wleczeniu kłoca w Krakowie w cza-

sie zabawy, zwanej po staremu combr em, mówiliśmy już wyżej; z okolic zaś Krakowa pełno jest wiadomości o kłocu. Ta zabawa z kłocem zesła z czasem prawie po wszystkich naszych miastach na przypinanie kłoczków i innych nawet przedmiotów do sukien; więc też i o miasteczkach krakowskich rozpowiada Kolberg, że tam „swawolnicy nieznacznie i zręcznie zawieszają w popielec kawalerom i pannom z tyłu sukni kłocki (patyki, kosteczki, kurze łapki i t. p.) za karę, iż w czasie karnawału nie weszli w stan małżeński“¹⁾. Ale po wsiach przechowuje się obyczaj w swym pierwotniejszym stanie. „Zwyczaj przypinania kłoczków — odpowiada J. Konopka o wsiach krakowskich — osobom niezamężnym w dzień popielcowy czyli we wstępną środę obchodzony bywa u ludu przy szczególnej uroczystości. Jeden z gospodarzy przebrany w łachmany za dziada, mającego przedstawiać wstępną środę, ze śledziem na kiju przywiązany, przewodniczy orszakowi młodych chłopców, którzy ciągnąc kłoc duży, na łańcuchu uwiązany, łapią po drodze parobków lub dziewczki zaprzągłszy do niego, wśród przycinków i śmiechu, zmuszają ich ciągnąć go i prowadzą do karczmy na okup, a to za karę, jak wyjaśniają następne słowa śpiewki:

A woli ja z daleka
Wiozę kłoc dla człeka,
W wstępną środę żeby włóczył,
Żeby drugich nauczył;
Jak oni to mają czynić,
Swoje syny pozynić
I córecki swe wydać.
Bo nam tego potrzeba:
Bo my kłoce włócyli,
Ze my się nie zenili.
Widzis ty to, mój bracie,
Co ja to przeniós dla cie:
Kłoczek srogi z łańcuchem,
Byś go ciągnął swym brzuchem²⁾;
Będiesz włóczyć nie daremnie,
Kacmarz to wezmie przyjemnie.
Da nam wódki tak wiele
Za kłoczek, ześmy go śmiele
Przywlekli tobie, Kubusiu,
Przyjmij od nas, mój brzusiu.
Daj nam wódki tak siłą,
Bośwa se zarobiła;
Daj nam faseckę masła,
Żebyśwa się wypasła.

¹⁾ Prace filologiczne, III, 368. Wista III, 87.

²⁾ Pisane zwyczajnie schymborza i samborza. Zob. Roczniki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, t. XXXIV, 108. Pod rokiem 1399 czytamy: Actum Poznanie in szamboria castri Poznaniensis — a pod rokiem 1582: na tych wrotach jest samborza. Zob. Arch. für. slav. Phil. XII, 151.

¹⁾ Kolberg O. Krakowskie, I, 269.

²⁾ W tekście mamy: „Opasę go z twym brzuchem“, ale to może przekręcenie zamiast tego, co podajemy.

Wstępna środa dziś idzie
Z dużym kłosem przy bidzie;
Żuru dużo nagotowała
I nam i celadce dała¹⁾.

Gdzieindziej w Krakowskiem (Tomaszowice, Modlnica) tak się znowu ta zabawa odbywa: „We wstępną środę przed karczmą mają baby duży kłoc, uwiązany na sznurze, i gdy jakiś parobek lub dziewczka tamtędy przechodzi, to go zatrzymują, uwiążą mu ten kłoc u nogi albo ręki i tak do kłoca przywiązanego ciągną do karczmy. Tu aby się od kłoca wykupić, winien pochwycony, parobek lub dziewczka, częstować owe baby wódką. Podpiwszy sobie, tańczą baby wówczas i podskakują w górę, aby im się rozdziły konopie, co się nazywa tańcować na konopie²⁾”. Ś. p. Z. Gloger rozповіда o innych wsiach krakowskich, że tam „ciągną we wstępną środę przez wieś kłoc, zaprzęgając do tego te dziewczęta i tych mężczyzn, którzy nie poženili się w zapusty. W gospodzie dokoła tego pnia tańczą, leją nań wodę, skaczą przez niego i śpiewają³⁾”. „Jest jeszcze miejscami (w Krakowskiem) zwyczaj — rozповіда dr. Janota — że w ostatni wtorek dziewczki, które się nie wydały za mąż, zaprzęgają do kłoca, który muszą ciągnąć, dopóki się nie okupią⁴⁾”. W Galicyi zresztą poza ziemią krakowską kłoc jako zabawa zapustna jest jeszcze dotąd prawie wszędzie znany w różnych postaciach. „Był dawniej w Bziance (powiat rzeszowski) — pisze Saloni — zwyczaj, że po powrocie z kościoła (w popielec) przywiązywano baby do kłoców od rąbania drzewa, obecnie zwyczaju tego niema⁵⁾”. Przywią-

zywanie we wstępną środę kłoca do nóg kawalerom i dziewczkom, którzy się nie poženili „w niesopusty“, i zmuszanie do okupu praktykowało się w mojej wsi rodzinnej (wieś Stale w powiecie tarnobrzeskim, niedaleko Sandomierza) do ostatnich czasów i zapewne dotąd praktykuje. Łączy się tam z tem cała komedya. Zbiera się mianowicie dziewięciu dorosłych chłopaków i przebierają się. Jednego okręcają od stóp do głowy w słomę i ten jest niedźwiedziem. Ma na głowie lokciową, spiczastą, ze słomy zwitą czapkę, „na te mode jak dawni mieli ziendary“. Z tyłu ma powróż ze słomy, za który go drugi prowadzi. Drugiego ubierają w „babskie smaty“ (kobiece odzienie) — to Kaśka. Ma na sobie fartuch z lnianego płótna, „od ziemi“ czarnym jedwabiem wyszywany, w jakim dawniej w Stalach kobiety chodziły. Koszulę ma także z płótna lnianego, wyszywaną na ramionach czerwonym jedwabiem, na głowie „smatkę“ (chustkę) z lnianego płótna, czarnym jedwabiem wyszywaną — wszystko „na starą modę, jak dawniej chodzili“. Trzeci — najprawdziwszy Żyd z pejzami w jupicy. Byle który Żyd we wsi pożycz mu swego ubrania: chałatu, czapki „tchórzówki“ — o brodę i pejasy to fraszka, od czegoż konopie, które dobrze sadzami osmolą i przywiążą Żydowi do głowy powróżkami — „i już jest nie do poznania Żyd“. Czwarci — to dziad w łachmanach lub odwróconym kudłami na wierzch kozuchu, z batem długim w rękę, z torbą skórzaną na plecach, jak dawniej dziady po wsiach chodziły. Dziad kogo spotka, parzy batem na pamiątkę owych dziadów, co niegdyś chodzili z wielkimi batami i psy wiejskie odganiałi od siebie¹⁾. Piąty dźwiga „kłoca“ czyli kawałek drewna, uwiązany na mocnym powróżku.

¹⁾ Konopka J. Pieśni ludu krakowskiego, str. 68.

²⁾ Kolberg O. Krakowskie, I, 270.

³⁾ Gloger Z. Pieśni ludu (Kraków 1892) str. 8.

⁴⁾ Dr. E. Janota. Lud i jego zwyczaje, str. 62.

⁵⁾ Saloni A. Lud rzeszowski, str. 70.

¹⁾ Porównaj przysłowie: „Rozpuszczony, jak dziadowski bat“.

C. D. N.



ZBIORY POLSKIE.

B. Janusz.

Zbiory Franciszka Jaworskiego we Lwowie.¹⁾



PRACOWNIA FR. JAWORSKIEGO WE LWOWIE.

fol. B. Janusz.

W dotychczasowych opisach zbiorów lwowskich uwzględnialiśmy narazie tylko te, które zawdzięczały swe powstanie umiłowaniu pamiątek przeszłości dla nich samych, bez celów ubocznych. Tym razem zaznajomić chcemy czytelnika z innym ich rodzajem, a mianowicie ze zbiorem, który stanowi właściwie podręczną bibliotekę, archiwum, pracownię naukową i wogóle to, bez czego obejść się nie może dziś nikt, pracujący naukowo, oddany badaniom specjalnym w obranym przedmiocie. Zbiory tego rodzaju muszą z natury swej inaczej przedsta-

stanowią wówczas pewnego rodzaju dokument, ważny dla charakterystyki człowieka, umożliwiający niejednokrotnie głębsze zrozumienie istoty twórczości dzieł jego. Dlatego też najwięcej zasługują na uwagę, najbardziej pożądane być mogą opisy ich i szczegółowe omówienie.

Jeśli chodzi o zbiory takie we Lwowie, to chyba na pierwszym miejscu wymienić należy te, które posiada Franciszek Jaworski, znakomity historyk dziejów i kultury tego miasta, autor tylu cennych prac i studyów starożytno-histerycznych, zajmujących się zwłaszcza grodem nadpeltwiańskim. Z pod jego mistrzowskiego zawsze i wykwinetnego pióra wyszedł długi szereg opracowań monograficznych, tudzież ogrom wprost studyów drobniejszych, najzupełniej oryginalnych, bo przeważnie opartych na poszukiwaniach archiwalnych, a drukowanych od 1897 r. w felietonach „Kuryera lwowskiego“, tudzież w dodatku do niego, w „Tygodniu“, a potem w trzech rocznikach „Na ziemi naszej“.

Wogóle w pracy swej, jako historyk, wyszedł Fr. Jaworski z felietonu dziennikarskiego,

¹⁾ Artykuł ten, otrzymany kilka dni przed śmiercią zasłużonego pracownika i ulubionego pisarza, umieścić możemy smutnym zbiegiem okoliczności — dziś dopiero po jego przedwczesnej śmierci. Jak doniosły pisma codzienne zmarł ś. p. Franciszek Jaworski (ur. 1873 roku), d. 18 marca r. b., pochowany dla uczczenia położonych dla Lwowa zasług przez miasto. Pozostały po nim liczne, bądź niewydane, bądź nawet niewykończone prace, z których ciekawa jest zwłaszcza monografia pow. chocimskiego, będąca rozszerzeniem napisanego na zamówienie ziemstwa chocimskiego szkicu, przetłumaczonego i wydane go w języku rosyjskim.

(Przyp. Red.).

czem też tłumaczyć należy formę niemal wszystkich prac jego, odznaczających się stylem lekkim, powabnym, wolnym od wikłania się w drobnostkowe dochodzenia i roztrząsania, tak zwykle w studiach naukowych, omijanych zwykle skwapliwie przez czytelników nie fachowych. Sam też Jaworski wysoko cenił z tych względów świetnie pisane dzieła Wł. Łozińskiego i Ludw. Kubali, a z dawniejszych J. Lama; ulubioną księgą jego są dzieła P. Skargi z precudną swą polszczyzną, z klasyków zajmuje go najbardziej Horacy.

W pracach Fr. Jaworskiego łatwo wyśledzić można te sympaty. Kto tylko zna kilka najważniejszych rzeczy jego, ocenić potrafi, o ile w nich dorównał, a może i prześcignął autora „Patrycyatu“ i „Sztuki lwowskiej“, w czym przejął się wspaniałymi studiami znakomitego dziejopisa epoki „ognia i miecza“ i „potopu“ szwedzkiego, co uznał za najcenniejsze w twórczości niezwyklego kronikarza, dziennikarza, powieściopisarza obyczajowego, J. Lama. Skarga jest mu mistrzem, kiedy w powagę archaicznego języka polskiego stroi jaką piękną stronicę prac swoich, kiedy dostojnie przemówić chce w jakimś akcie pamiątkowym, kiedy odzywa się bardziej *sub specie aeternitatis*; pogodny Horacy miłym mu jest towarzyszem w chwilach, kiedy zapomina o troskach codziennych, zżywając się z tymi, których do życia nowego powołał, wygrzebując ze stosów starego papieru wielkie i małe ich kłopoty, radości i wesela.

Mistrzem jest Fr. Jaworski zwłaszcza w kreśleniu scen obyczajowych z życia dawnego mieszczaństwa lwowskiego. Nikt tak jak on nie potrafił dotychczas odtworzyć tylu wspaniałych obrazków z hałaśliwego, kłótliwego, zawistnego, a zawsze obdarzonego temperamentem żywota obywateli grodu, lwem się pieczętującego. Łoziński jest dziejopisem patrycyatu, Jaworski, szarego mieszczaństwa, zwłaszcza tego z przedmieść, niezadowolonego zawsze z „panów“, choć chętnego zawsze możliwie jak najprędzej stanąć w ich rzędzie. Czerpiąc z kart archiwalnych, potrafi Jaworski tyle życia wlać w poźółkle opowieści inkaustowe, iż jakby dzisiaj wyzierają z nich ku nam owe „łyki“; widzimy, jak przychodzą na świat boży, jak rosną ku chwale Boga i ojczyzny, jak się kochają, żenią, kłócą, zaciekle procesują, kreślą testamenty bez końca, czynią świętobliwe zapisy, rozgrzeszają potomstwo i kładą się wreszcie do snu wiecznego.

Już pierwsza, popularna książeczka o Żółtkwi, wydana przez „Macierz polską“, a niepodpisana nazwiskiem autora, była zapowiedzią, czego spodziewać się można po nim. Nie zawiodły też nadziei liczne następne prace, jak przystępna monografia Gródka, miejsca rodzin-

nego autora, w dwu częściach wydana rzecz o ekslibrysach i bibliotekach lwowskich, niezmiernie ciekawe studium „Królowie polscy we Lwowie“, monografia ratusza lwowskiego i cmentarza gródeckiego, rzecz o „Nobilitacji m. Lwowa“, „Lwów za Wład. Jagiełły“, powtórne, powiększone wydanie „Królów polskich we Lwowie“, całe mnóstwo ogłoszonych w tym czasie felietonów w „Kuryerze lwowskim“. Te ostatnie zebrał autor w części razem i uzupełnione ogłosił z ilustracyami w książce p. t. „Lwów stary i wczorajszy“, która prawie od razu rozszła się w dwu wydaniach, ustalając sławę jego, jako wybitnego stylisty i poczytnego autora. Jak mistrzowsko włada on pięknym językiem i jaki posiada dar lekkiego, zajmującego wykładu nawet w rzeczach, pozornie nie przedstawiających pola dla popisu, dowodem służyć może wspaniałe wydana publikacja p. t. „Polskie pierścienie historyczne“, tudzież „Medaliony polskie“. Oba te wydawnictwa są już dzisiaj wyczerpane. Pisał poza tem Fr. Jaworski i sporo rzeczy drobniejszych, jak ostatnio o ks. Józefie Poniatowskim, o roku 1863, o oblężeniu Lwowa i t. d. Ostatnio zaś zamyślał opracować nader zmundnie zgromadzony materiał — nawiasem powiedziawszy, niezmiernie ciekawy i poniekąd sensacyjny — do monografii znanego malarza fresków, Stroińskiego, tudzież trzy szkice z dziejów Lwowa. W druku zaś znajduje się większa praca z dziejów kultury Lwowa, pendant do „Lwowa starego i wczorajszego“, powstała ze złączenia w jedno całego szeregu felietonów, ogłaszanych przez kilka lat, przeważnie w „Kurjerze lwowskim“. Do wydawnictwa tego, obficie ilustrowanego, wejdzie też świeżo ukończony dłuższy felieton o masoneryi lwowskiej, czytany w dzienniku z niezmiernem zainteresowaniem ogólnem.

Jak widzimy, poczet to, zadziwiający swą obfitością. Zastanović też musi, ile pracy wymagały te wszystkie rzeczy, a zastanović tem bardziej, jeśli się weźmie pod uwagę, iż dokonane zostały w przeciągu lat dziesięciu z niewielkim okładem. I nic może nie byłoby w stanie wyjaśnić tego lepiej, niż właśnie bliższe zapoznanie się z systemem pracy autora, z jego pracownią podręczną, biblioteką i pewnego rodzaju archiwum, za jakie uważać można jego zbiory.

Zbiory red. Jaworskiego dzielą się, stosownie do dwu jego odmiennych zajęć, na dwie części. Jako archiwaryusz miejski, a tem samem historyk *ex officio*, posiada stosowną bibliotekę, złożoną z „leopolitanów“, tudzież najważniejszych dzieł ogólnych z dziejów Polski. Jako zaś dziennikarz-felietonista, wrażliwy z konieczności na aktualne wspomnienia z przeszło-

ści, zgromadził z czasem całe archiwum podręczne, złożone z mnóstwa życiorysów, wspomnień, artykułów, notatek, wycinków, druków, broszur, rzadkich szkiców, składających się w całość na niezmiernie cenny komplet „leopolitanów“, przeważnie rzadkich, lub niełatwo dostępnych. Zapoznanie się z tą właśnie częścią zbiorów Fr. Jaworskiego najlepiej poucza, dzięki czemu zdołał on w tak niedługim czasie tyle cennych prac piśmiennictwu naszemu ofiarować, wyjaśnia sposób ekonomicznego użytkowywania czasu, nie trwonionego na długie poszukiwania po bibliotekach i zbiorach publicznych. Przez staranne kompletowanie tego działu zdobył on niezwykłą orientację w literaturze swego przedmiotu, a także nadzwyczajną umiejętność wyszukiwania źródeł i materiałów — w czym zwłaszcza celuje, składając nie mało dowodów tego w licznych pracach swoich. Pragnąc, by pisma jego czytane były przez tych, dla których przedewszystkiem je przeznacza, t. zn. dla kół najszerzych, unika obarczania ich balastem uwag i przypisków, odstraszać czytelnika nie specjalistę, ale mimo to opiera je na bardzo nawet szczegółowych badaniach, tak archiwalnych, jak i bibliotecznych czy muzealnych. Pod tym względem zasługuje Jaworski na całkowite zaufanie, a nie byłoby racji czynić mu z tego powodu zarzutu, jeśli weźmie się pod uwagę, jaki cel stawia sobie, przystępując do każdej prawie pracy, przeznaczonej przedewszystkiem dla najszerzych kół inteligencji.

Każdą rzecz rozpoczyna autor w archiwum, uzupełnia na podstawie materiałów własnych i w miarę potrzeby przechodzi do bibliotek i zbiorów publicznych. Dla umożliwienia zaś sobie podobnego postępowania, rozdzielone ma swoje archiwum podręczne na poszczególne grupy. I tak, wspomniane wycinki, druki, broszury, notatki, zapiski ułożone ma według najrozmaitszych działów — osobno zestawione są materiały do dziejów kościołów lwowskich, najnowszych budynków, instytucji rozmaitych, zabytków, pomników, pamiątek, osobistości historycznych, uczonych, artystów, literatów, do poszczególnych narodowości i wogóle do działów, zależnych od kierunku prac i badań w obranym przedmiocie. Nie jedną rzadkość mieszczą teki, wypełnione tem wszystkiem, nie jedną rzecz ciekawą uchroniły od zapomnienia i zniszczenia.

Drugi dział stanowi biblioteka, reprezentowana wyłącznie przez „leopolitana“, tudzież wydawnictwa podręczne w rodzaju bibliografii, słowników, katalogów, kodeksów i t. p. Na pierwsze miejsce wysuwa się tu piękna kolekcja kronik, przeważnie w starych wyda-

niach, tudzież dzieł historycznych, jakie choćby dla kilku kartek zakwalifikowane zostały do rzeczy lwowskich. Najwięcej miejsca w zbiorach historyka Lwowa zajmuje oczywiście komplet opracowań w obranym dziale, obejmujących wszystko możliwe a ciekawe, co w przedmiocie tym ukazało się kiedy — sporo więc opisów, sprawozdań, pamiętników, monografii i t. p. Niesiecki, Finkel, Rastawiecki i t. p. ważne dzieła podręczne dopełniają całości biblioteki, której największą wartość stanowi przedewszystkiem objęcie jednego tematu, jakim dla posiadacza w całej pracy dotychczasowej były dzieje Lwowa w najróżnorodniejszych przejawach jego przeszłości.

Zamiłowanie w raz obranym kierunku nie mogło pozostać bez wpływu i na wszystko, co tylko autora naszego zajmuje. Jak nierzadko przystawać lubi po drodze, by nacieszyć się widokiem jakiegoś szczegółu piękniejszego na starym domu patrycyuszowskim lub na czcigodnej świątyni, przypatrzeć się charakterystyczniejszym zakątkom, albo podchwycić tętno życia w ciekawszych przejawach, tak też i spocząć lubi okiem na tem wszystkiem w domu u siebie, strojąc go w stare rysunki, litografie, a zwłaszcza wspaniałe sztychy. Mnóstwo „leopolitanów“ tego rodzaju posiada też w tekach, kompletowanych z zamiłowaniem całe lata, podobnie jak i numizmatów, medali, medalionów, miniatur, przedmiotów pamiątkowych, artystycznych i t. p., mających coś wspólnego z dziejami ulubionego grodu. Piękne stare meble, dawna ceramika polska, stare zegary lwowskie w sąsiedztwie obrazów i sztychów na ścianach, składają się na niezwykle estetyczną całość, nie mało posiadającą wspólnego z najistotniejszą wartością prac Jaworskiego, z ich treścią i wytworną formą. Zachodzi jednak między nimi różnica o tyle, iż autor z książek swych bywa niezadowolony (zawsze zbyt wiele wymagając od siebie), ale każdy nowy nabytek, książka czy obraz, medalion czy miniatura, sztych czy druk jakiś, stanowią dlań źródło radości prawdziwej — pod tym względem rzecz najdrobniejsza, wliczona raz w poczet nabytków, posiada całą historję w pamięci i wspomnieniach właściciela. Jak zaś wiadomo, właściwość to zbieracza pierwszej wody.

Przed mianem zbieracza dla siebie, a zbiorów dla własności swojej, broni się Jaworski zawsze gorliwie, chociaż nigdy nie przeczy, iż „gdyby tak lepiej się wiodło ze wszystkim“, najniezawodniej nie „traciłby“ czasu na pisanie drobiazgów, a z największą chęcią oddałby się jakiejś wielkiej pracy, kilku, a choćby i kilkunastoletniej, zagrzebując się w księgach ulubionych, zajęty niemi i gromadzonymi zbiorami. I w tem

też okazuje się zbieraczem najczystszej krwi, za jakiego uważać go musi każdy znający go choćby nieco bliżej, mimo, że sam autor i po-

siadacz nie chce „przyswajać” sobie „niezasłużonego” miana, utrzymując, iż to, co posiada „to nie zbiory jeszcze”.



Eugeniusz Frankowski.

Niedziela palmowa w kotlinie Sądeckiej.

W obrządkach i obyczajach ludu naszego spostrzegamy dziwną płataninę wierzeń religii chrześcijańskiej ze szczątkami własnej jego wiary prastarej. Wiara ta przekonywa nas o twórczej wyobraźni ludu, na której otaczająca przyroda wycisnęła swe piętno.

Życie z cudowną mocą tworzenia nowych istot i pociąg płciowy — będący nakazem tej mocy, kierujący życiem człowieka po wszystkie czasy, wreszcie śmierć — jako zjawisko odpadania zużytych ogniów w nierozzerwalnym, nieskończonym łańcuchu istnienia — oto zagadnienia, dokoła których powstały i rozwinęły się wszystkie obyczaje i wierzenia człowieka, dając wyraz niezliczonym troskom jego w walce z nieznającą ustępstw przyrodą.

Lud nasz jak i inne ludy ziemi ze zdumieniem i lękiem stanął przed niepojętą mocą życia i zależność swoją i niemoc wyrażał w prośbach, czy to z zamiarem zjednania sobie sił pomocnych, czy też w celu odwrócenia sił wrogich.

Chylił on czoło przed wielką potęgą natury i zaludniał otaczającą go ziemię wcieleniem niezrozumiałych dla siebie potęg. Cztery pory roku, obrazujące życie ziemi, od których pomyslnego przebiegu uzależniony jest nasz dobrobyt, znalazły wyraz w odpowiednich wierzeniach.

Wszędzie, gdzie się różnica pór roku wyraźnie zaznacza, witają ludzie ziemię, budzącą się ze snu letargicznego pod wpływem życiodajnych promieni słońca — świętem wiosny.

Treścią wszystkich obrządków, towarzyszących tym uroczystościom, jest powitanie sił twórczych ziemi, pragnienie zjednania ich sobie, jak również odpędzenie sił wrogich, duchów szkodliwych, demonów i czarowników złośliwych.

Rozwijająca się roślinność wiosenna jest widowym znakiem przebudzenia się ziemi i w wyobraźni ludu staje się symbolem płodności i dobrobytu.

Wiele ludów pierwotnych, jak również i nasi przodkowie, wciąż otaczali stare drzewa, i „palma”, święcona w niedzielę kwietniową, zachowała po dziś dzień wiele znaczenia w świecie obyczajów ludowych.

Jest ona symbolem płodności, urodzaju i dobrobytu, wreszcie posiada moc odpędzania choroby i złego, chroni domostwo od pożaru i od uderzenia piorunu.

Niedziela palmowa i związane z nią święcenie palm jest w wielu swych obrządkach pozostałością prastarego święta powitania wiosny i szczątkowym wyrazem kultu drzew.

Podaję tutaj szczegółowy opis związanych z tą uroczystością obrządków, które się zachowały u ludności, mieszkającej nad Dunajcem w kotlinie Sądeckiej w parafii podegrodzkiej, we wsiach: Gostwicy, Brzeznej, Podegrodziu i innych.

W sobotę przed niedzielą palmową wszyscy chłopcy domowi robią palmy. Im palma wyższa — tem piękniejsza. Sięga ona niekiedy dziesięciometrowej wysokości.

„Palmy” robią się z „iwy”, „knokocyny”, „palmy” i „sakwasu”.

Palma, zwana inaczej trzciną (*Typha latifolia*), rośnie na stawach; „knokocyna” (*Staphylea pinnata*) — krzew, umyślnie sadzony przy domach; sakwas (*Vaccinium vitis idaea*) — krzew z drobnymi ciemno-zielonymi listkami, rośnie między cierniami; „iwa” (*Salix caprea*) drzewo, dostarczające gałązek z bażkami, zwanymi tu jeszcze „kyćkami”, rośnie po wiklinach, łęgach, nad potokami, sadzą ją również w ogrodach koło plotów.

Po gałązki tych roślin idą chłopcy na parę tygodni przed świętami, bo ich trzeba daleko szukać.

Palmę robią w sposób następujący. Dokoła długiej tyczki, „żyrdki” z jodełki, przymocowują u szczytu kilku gałązek z bażkami, ze



NIEDZIELA PALMOWA W KOTLINIE SĄDECKIEJ
(PRZED KOŚCIOŁEM).

fol. W. Migacz

3—4 kijaki sakwasu, knokocyny i palmy, niżej taki sam pęk nowy i t. d. wzdłuż całej tyczki.

U samego dołu wiążą palmę postronkiem, na którym później „dobrze się pasą krowy“. Wyższe pęki wiążą batami z konopi.

„Dziopy“ (dziewczęta) ubierają palmę u szczytu wstążkami z bibulek różnokolorowych, papierowymi kwiatami i długimi prawdziwymi wstążkami.

Na wierzchołku palmy przymocowują złotony krzyżyk drewniany. Palmę do kościoła niesie pastuch. Gdy z poświęconą palmą wróci do domu, głaszcząc ją w stajni jałówki: „żeby były gładkie, jak basie u palmy“. Niższe palmy stawiają w izbie, gdzie stoją do wielkiej niedzieli. Jeżeli zaś palma nie mieści się w izbie — kładą ją na gwoździach, przybitych pod strzechą stajni.

Gazda idzie do kościoła z małą palemką związaną wstążeczką i poświęconą zasuwa w izbie za obraz.

W wielką niedzielę po obiedzie „rozbiegają“ palmę. Kwiatki zabierają „chodaki“ do kapeluszków; wstążki biorą „dziopy“ do włosów, a baty konopne chowają na bydlę, bo jak poświęconym batem uderzy — to bydlęcia nie boli. Tyczkę od palmy chowają na drugi rok, a z gałązek, przywiązanych do niej, robią krzyżyki.

O północy w wielką niedzielę idą parobcy i chodaki w pole, biorą karafkę z wodą święconą (do zwykłej wody dolewają kilka kropel wody święconej przyniesionej z kościoła), kropidło i kos z krzyżykami. Święcą pola i krzyżyki wbijają po rogach w każdym

stajaniu po oziminnie, ażeby chroniły od gradu, morowego powietrza, a przynosiły urodzaj.

W nocy podczas święcenia latają nad polami „czarowniki“; odgania się ich wodą święconą, lecz gdyby ptak zaśpiewał przed zakończeniem święcenia, „czarowniki“ pola oblecą i wówczas całe święcenie na nic.

Za dobre święcenie pól dostają parobcy od gospodyni po kołaczku. Wracając do domu, wstępują do chałup, gdzie są ładne dziewczęta i leją wodę do sieni. Gdy wrócą do swojej zagrody, święcą cały dom, a resztę wody wylewają na gospodynię i „dziopy“. Najwięcej śmiechu wywołuje oblanie dziewcząt w pościeli.

Lud sądecki wierzy, że w każdej z okolicznych gór leżą głęboko w ziemi ukryte skarby, których pilnuje dyabeł.

I tylko raz w rok w niedzielę palmową wynosi je on na ziemię i suszy na słońku.

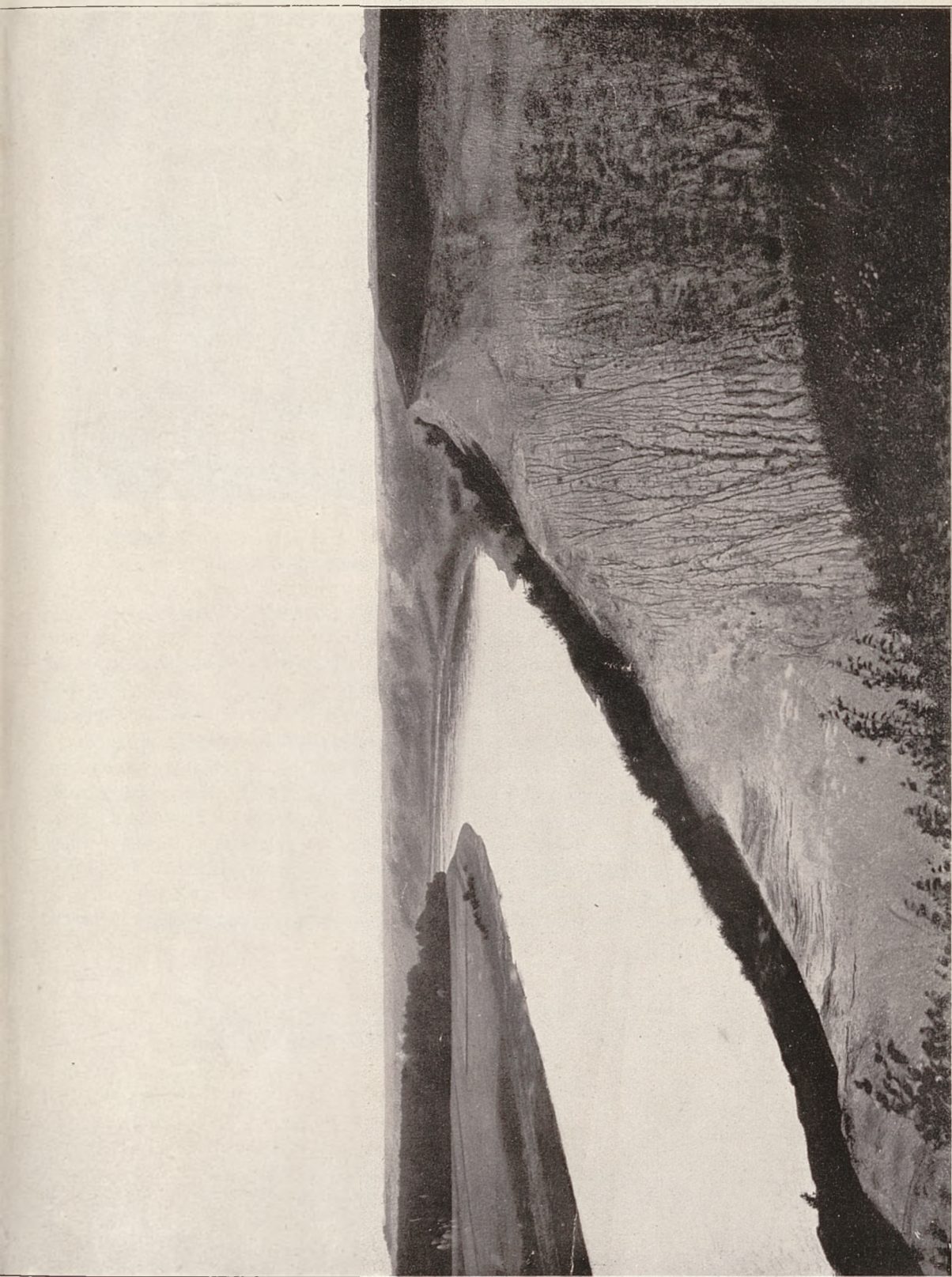
Kiedy w dniu tym idzie procesja dokoła kościoła i gdy już kończą dzwonić, a ksiądz uderza trzy razy do drzwi kościelnych — to dyabeł leci przed kościół. W tej chwili zobaczyć można suszące się pieniądze po górach, ale zobaczy je tylko człowiek bez grzechu.

Zebrać ich odrazu nie można, ponieważ należy się bardzo spieszyć. Gdy się je ujrzy, trzeba na nie czemś rzucić. Najlepiej rzucić butem z nogi, bo się pieniądze tyle tylko w ziemię schowają — ile but wejdzie w ziemię, wobec czego można je później bez trudu wydobyć. Nie należy rzucać na suszące się pieniądze czapką z głowy, boby się w ziemię zapadły na głębokość ludzkiego wzrostu. Wykopując pieniądze, nie należy kląć, boby zaklęte uciekły w głąb ziemi.



fol. W. Migacz.

NIEDZIELA PALMOWA W KOTLINIE SĄDECKIEJ (POWRÓT Z KOŚCIOŁA).



Brzeg Niemna przy półwyspie birsztańskim.



fol. E. Frankowski.

DRUŻYNA WESELNA W KOTLINIE SĄDECKIEJ.

(1 od lewej strony pan młody, 2 i 3 družbowie z siekierkami).

Dokoła wierzeń o skarbach zaklętych, które z głębin ziemi wydobywa słońce wiosenne, powstało wiele podań i opowieści, których treścią jest historia zabiegów o posiadanie tych pieniędzy i smutne losy zdobywców.

Jeśli się baczniej przyjrzymy wszystkim coraz bardziej zanikającym zwyczajom i przesądom ludowym, które przetrwały jeszcze do naszych czasów mimo tyłowiekowej dobroczynnej pracy kościoła — uderzy nas uduchowiająca wszystkie te obrządki wspólna idea podporządkowania całego życia przejawom natury. Elementarne zjawiska życia, siły zapładniające i ni-

szczęce wycisnęły głębokie piętno na wyobraźni ludu, stworzyły cały szereg symbolów, które dziś dogorywają w wierzeniach ludowych, zapomniane i nierozumiane przez niego, utrzymujące się jednak w postaci przeżytków — dzięki nieoszacowanej w tym wypadku zachowawczości naszego ludu.

Wykreślenie dróg i wspólnych obszarów występowania poszczególnych wierzeń rzuci niemal cennego światła na wędrówkę ludów i na koleje ich życia i wpływów wzajemnych w zamierzchłej przeszłości, której dziejów nie przekazała nam historia.



Adam Chętnik.

Z ZIELONEJ PUSZCZY.

10)
(dok.)

Kobiety kurpiowskie nosiły sukmany bure lub siwe, spódnice wełniane lub płóciennę w pasy swojej roboty; latem spódnice zastępowały dwa fartuchy z przodu i z tyłu zawiązane. Włosów mężatki i wdowy nie splotały w warkocze,

lecz rozpuszczone zawiązywały w dużą chustkę. Koszule miały białe, cienkie przy kołnierzu, na ramiączkach i rękawach wyszywane czerwonym szlaczkiem. Na piersiach nosiły i noszą szkaplerz na czerwonej wstążce, na szyi mnóstwo

czerwonych koralu lub paciorków bursztynowych, kurpiowskiego wyrobu. Prócz fartuszek na przodzie kobiety nakrywają się fartuchem na plecy, albo też przyodziewają się kilimem — dywanem kolorowym, którym także nakrywają łóżka. W zimie zamiast gorsetów letnich, nosiły gorsety lub kaftany sukienne z rękawami, granatowe lub zielone, z tyłu fałdowane; w stanie naszyte były guziki świecące. Kolory sukien kobiecych są prawie w każdej wsi inne — dobierane w odpowiednie desenie. Po sukniach tych kurpianki, nawet nieznanym, mogą rozpoznać się, z jakiej wioski jest parafii, a nawet wioski. Ubiór kurpianki nie kosztuje drogo: sukienka 3 rb., fartuch do nakrycia rb. 1 k. 30, fartuch do opasania się 75 kop., gorset rb. 3 kop. 50, korałe 2 rb., chusteczka kolorowa na głowę 30 kop. Młode dziewczęta kurpiowskie ubierają się ładniej od starszych: na uroczystości lub święta doroczne, a także na wesela, dziewczęta prócz zwykłego stroju kładą na głowę t. zw. czółka czyli korony z czarnego aksamitu, upiękzone szyszkami i świecidełkami z bukietem sztucznych kwiatów, oraz mnóstwem wstążek, spuszczaających się na plecy razem z warkoczami, których plotą dwa.

Teraźniejszy strój kurpiowski uległ znacznej zmianie: mężczyźni noszą się z niemieccką, kobiety zaś strój swój nie wszędzie zachowały w całości. W okolicach Kadzidła, Lipnik, Wachu i Myszynia stroje jeszcze są bardzo malownicze, mężczyźni jednak, o ile chodzą w sukmanach, nie noszą już kapeluszy, lecz czapki maciejówki z daszkiem lub baranekowe rogatywki.

Zwyczaj starodawny na puszczy, połączone ze świętami i uroczystościami dorocznymi, przeważnie niele się zachowały, chociaż bliżej miast zanikają. Wesela, na których w całej pełni występują obrzędy staroświeckie, odprawiane są w środkowej puszczy, oraz zdala od znaczniejszych osad. Emigranci, przybywający z Ameryki wszystkie prawie dawne zwyczaje wyrugowują. Wesele jak dawniej tak i dziś jeszcze trwa parę dni. Wesołości, śpiewów i częstowania piwem jest do zbytku. Tańczę przeważnie oberka i polkę; z tańców swoich, ściśle miejscowych znane były dawniej: polonez kurpiowski, taniec gładki, kurp, powolniak i kowal. Do dziś utrzymał się tylko powolniak, podobny do polki; tańczy go się prędko i co drugi takt okręca się na nodze w miejscu. Dobrzy tancerze tańczą go szybko i tak równo, że utrzymują na głowie położony przedmiot lub szklankę z piwem. Inne tańce zostały zapomniane, a wszystkie wogóle nie znane były szerszemu ogółowi. Trzeba dopiero odgrzebywać je z gruzów przeszłości i zapomnienia.

Piosenek śpiewają kurpianki bardzo wiele,

są też zdolne do śpiewu, zdolniejsze o wiele od mężczyzn. Pieśni, a szczególnie weselne, mało są znane, ponieważ niema ich w śpiewnikach; w zbiorach O. Kolberga i Z. Glogiera część ich tylko jest zanotowana, reszta czeka na swoją kolej.

Mowa kurpiowska, aczkolwiek podobna do mazurskiej i należy do dyalektu mazowieckiego, posiada wiele właściwości odrębnych i sporą ilość wyrazów nigdzie na ziemiach polskich nie spotykanych. Już samo zmiekczenie spółgłosek potwierdza powyższe zdanie.

Puszczaki nie mówią kurp, piwo, piasek, ale „kurps“, „psiwo“, „psiasek“; nie powiedzą widziałem, wisi, więcej, ale „zidziałem“, „zisi“, „wziancej“. Zwrotka jednej z piosenek kurpiowskich brzmi tak:

„Oj ty... ty psiazaro,
Poziadziałeś ze nas mało,
A nas zgórą sto tysiancy,
Obejrzyj się — jescze ziancej“.

albo:

Niech bandzie pochwalony...
Na ziki zików.

Poniżej podaję mały słowniczek wyrazów kurpiowskich:

„sygnują“ — dzwonią na nabożeństwo;

„powerek“ — kawałek kija;

„recytować“ — czytać;

„odebrać“ — sfotografować;

„chluba“ — gałąź;

„masiust“ — aksamit;

„falorek“ — wstążka;

„knofel“ — guzik drewniany;

„momka“ — mąka;

„nie brak“ — nie potrzeba;

„skarb“ — pieniądze;

„zień“ — ziemia;

„rzeniak“ — pasek rzemienny;

„kubek zapalek“ — paczka zapalek;

„ma gryf“ — gdy ktoś zwinny, zgrabny;

„kulasy“ — koronki, np. u ubrania;

„rajby“ — swaty, komplementa;

„opatry“ — oględziny majątku pana młodego przed ślubem;

„potarczysko“ — poprawiny w tydzień, np. po weselu, chrzcinach;

„migi“ — komary;

„festunek“ — twierdza, miejsce obronne;

„agnusek“ — medalik;

„kruzyk“ — kubek, garnuszek;

„osmana“ — spółka;

„zedel“ — stołek;

„skowroda“ — patelnia;

„cudowałał“ — gniewałał się;

„nacudował“ — naprzeklinał, nazłościł się;

„puchnie“ — pachnie;
 „popuchać“ — powąchać;
 „sykownie chodzi“ — ładnie tańczy;
 „skromniutka“ — osoba szczupła;
 „buksy“ — spodnie;
 „dziwcak“, „dziewcok“ — dziewczyna,
 panna;
 „młodziak“ — kawaler młodszy;
 „samosyjca“ — kawaler starszy;
 „gaza“ — nafta;
 „korknął“ — umarł;
 „lejbzik“ — kamizelka;
 „łonieć“ — przeszłego roku;
 „matyjaśnie“ — smutno, przykro;
 „nachci“, „nachcić“ — toć, niby (potwier-
 dzenie);
 „orendować“ — zawiadomić;
 „rajboki“ albo „rejbaki“ — kluski duże
 kartoflane;
 „skrzecha“ — skwarka ze słoniny;
 „teni“ — tędy;
 „nie brak mi tego“ — niepotrzeba;
 „pogibelom“ — gdy np. zdechła kura (Wach);
 „rycon“ — kłonica;
 „łyscycha“ — łyżka;
 „kiście“ — frędzle;
 „napiętki“ albo „obzace“ — obcasy u buta;
 „pydy“, „pedy“ — nosidła do noszenia
 wody na ramionach;
 „chrzoda“ — środa;
 „retka“ — koń lichy;
 „naremny“ — naprzykrzony, uparty;
 „nie lonuje“ — nie warto;
 „nie lustuje“ — nie wie dzie się;
 „kitel“ — spódnica z paskami (deseniami)
 w kierunku z dołu do góry;
 „spódnica“ — sukienka w kratki lub bez
 deseni;
 „kiecka“ — koszula (Wach);
 „spletok“ — wstążka do wplatania w war-
 kocz;
 „cizmy“ — trzewiki lekkie;
 „cegielka cukru“ — kostka cukru;
 „porabować“ — podrapać;
 „uzer się“ — upił się;
 „niema co zarć“ — co jeść;
 „wyzar antalek psiwa“ — wypił;
 „juz go osiodłali“ — gdy np. psy psa
 gryzą;
 „ja się do niego zaprzęę“ — ja się do
 niego zabiorę;
 „iść do graca“ — iść na taniec;
 „idę do cukru“, „do scawiu“, „do octu“ —
 idę po cukier, po szczaw, po ocet;
 „zasadny“ — zawzięty;
 „zlotrować“ — zepsuć;
 „wyłozgotać“ — nadokuczać komu;
 „krzosło“ — krzesło;
 „pasyjka“ — krzyżyk;

„prześcioneć“ — pierścioneć;
 „zeby-aby-zeby-aby“ — rad nie rad;
 „obiecadio“ — elementarz;
 „pismok“ — pisarz np. gminny;
 „nalucony“ — uczony;
 „krasić“ — farbować;
 „part“ — płótno;
 „apart“ — prócz;
 „smaty“ — ubranie;
 „wyprześwadować“ albo „wyperśwadować“
 — wytłumaczyć;
 „weno“ — widzisz, oto tu;
 „ajno“, „ajwo“, „owtu“ — tutaj;
 „wenowejta“ — patrzajcie;
 „mój świecie!...“ — wykrzyknik przy we-
 stchnieniu;
 „fanaberny“ — ambitny;
 „fefka“ — fajka;
 „lepy“ — usta;
 „gilbon“ — nos (w złości);
 „kulać się“ — tacać się;
 „czego się ciepies“ — czego się rzucasz;
 „brucha“ — brukiew;
 „sabelok“ — fasola;
 „zijka“ — wyka;
 „stędych sama“ — wszędy sama;
 „ziele kście“ — kwiaty kwitną;
 „zielę“ — kwiaty z doniczką;
 „ścierają“ — piorą koszule;
 „albona“ — ambona;
 „klempa“ — krowa;
 „siuchna“ — owca;
 „kiziak“ — żrebak;
 „lolka“ — młoda krówka;
 „łozę“ — łóżko;
 „bygiel“ — obwarzanek;
 „tyna“ — szaflik;
 „ziedro“ — kubel;
 „y ty Jegieno!“ — (wyr. ubliżający);
 „kokos“ — kura;
 „pamiętnik“ — nagrobek;
 „pomer“ — umarł;
 „to juści“ — tak;
 „toć“ — akurat (lekceważenie);
 „bodaj u księdza koń zdechł“ — podobno
 u księdza koń zdechł;
 „ksiotek“ — kwiatek;
 „obsady“ — ramy do obrazu;
 „myrse“ — małe światło z lampy naftowej;
 „persc“ — mały dzieciak (lekcew.);
 „kot blamce“ — kot miauczy;
 „blakał“ — beczal;
 „a... do pajaków“ — na nic, do niczego;
 „idź do drabiów“ — daj mi spokój;
 „zespokój się“ — daj mi spokój;
 „światowiec“ — bywalec;
 „siurek“ — smarkacz;
 „psisarek“ — młodszy pisarz gminny;
 „prejzes“ — prezes;

„chojka“ — sosna;
 „jaka“ — część ubrania, męzka lub kobieca, a m. wolny kaftan bez wcięcia;
 „zdatny dziewczok“ — przystojna dziewczucha;
 „kruzowaty“ — kędzierzawy;
 „piękny na licu“ — piękny na twarzy;
 „okórek“ — korek;
 „podkładki“ — zelówki u butów;
 „zercie“ — jadło;
 „parscyć“ — byle jak robić;
 „bełk“ — brzuch;
 „berdy“ — tłomoki, pakunki,
 „turzyca“ — szerść;
 „fordaka“ — rozporek w spodniach,
 „tynecka“ — mały szaflik;
 „tuk“ — tłuszcz topiony ze słoniny;
 „ziołna“ — wełna;
 „kieret“ — żyrandol, pajak z papieru i ze słomy u sufitu;
 „wybystrzyło się“ — wypogodziło się;
 „na zebranie“ — po zebraniu;
 „nieskromna“ — tęga kobieta;
 „ucierak“ — ręcznik;
 „śtucne mleko“ — tłuste mleko;
 „nie poturam“ — nie pokonam;
 „licek kście“ — twarz kwitnie, rumieni się;
 „daj sobie radę“ — uspokój się;
 „zuchelek, zubelek“, — kawałek;
 „nachcić“ — przecieź;
 „legat“ — próżniak;
 „pępuch“ — racuch;
 „sposobny“ — zdolny;
 „galina“ — kłose sosnowe;
 „kruski“ — gruszki szczepione (owoc);
 „leśnianki“ — gruszki dzikie;
 „olekać“ — śpiewać głośno;
 „arki“ — kruchy;
 „kiepkuje“ — drwi, wyśmiewa się;
 „wielecny“ — bardzo duży;
 „spik“ — sen;
 „ostry“ — prędko;
 „wątroba letka“ — płuca;
 „raby“ — żebra;
 „jedzie ciuchtacka“ — truchtem;
 „jedzie łoboda“ — galopem;
 „dźwaga“ — gdera;
 „wierzbiony“ — rzeźbiony;
 „scublak“ — szczupak;
 „parzychy“ — pokrzywy
 „chrap“ — rzadkie błoto;
 „płać“ — śmiga w wiatraku;
 „dał mu folgę“ — dał mu czas;
 „odfolga“ — odwilż;
 „smaga“ — niesmak w ustach;
 — Jak się macie?

— „Nachci Bogu dzięki pomaleńku...“
 Do wchodzącego gościa gospodarz mówi:
 — Witajcie do nas!
 — „Panie Boże zapłać! — dziękuję za wittackę“ — odpowiada gość.
 Z przekleństw miejscowych znane są takie:
 „A bodajci skapsiał!“ (bodajesz przepadł).
 „Bodaj cię do piekła nie przyjęli!“ — „Won, grzechu!“ — „Co krrew sobie myślisz?“ — „Bodajcie drzwiami ścisnęło“ — „Bodajcie portki sperły!“ — „Żeby cię wątroba!“ — „Żebyś wilka zjadł!“ — „Bodajcie kaczką kopnęła zandnią nogą!“

Odrębność swoją w wyrażeniach kurpie zachowują bardzo długo; kurpia czy kurpiankę, przesiedlonych na lewy brzeg Narwi, gdzie mówi już inaczej, można po wielu latach rozpoznać po mowie.

Wyrazy powyższe nie stanowią jeszcze całego słowniczka gwary kurpiowskiej, pochodzą zaś z okolic Wachu, Kadzidła i Turośli. Inne miejscowości posiadają wiele swoich wyrażen, ściśle miejscowych.

*

Zielona Puszcza, chociaż obecnie biedna i ciemna, ma jednak przed sobą przyszłość. Uregulowanie Narwi z dopływami, osuszenie błot i łąk, zalesienie piasków, przeprowadzenie kolei i dróg bitych przyczyniłyby się bardzo do dobrobytu i handlu. Zmniejszyłaby się wtedy i emigracja, która obecnie dziesiątkuje ludność, i zakwitłby przemysł, np. drzewny, oraz hodowla. Nim to jednak nastąpi niemało wody w Narwi upłynie. Ja osobiście szczerze życzę powyższych zmian swoim puszczakom, obawiam się jednak, że o ile to nastąpi niezadługo, to kurpie nie będą do tego wcale przygotowani: wyrzekną się swej kultury chłopskiej, zarzucą obyczaje i zwyczaje, po praojcach odziedziczone, cisną w kąt stroje ludowe, a sami zaczną furmanić, handlować i pić wódkę. Do tego wszystkiego bowiem są bardzo podatni. Trzeba więc oświecać ich prędko, a poza tem śpieszyć się z zebraniem i opracowaniem budownictwa i zdobnictwa miejscowego, z zebraniem pieśni, gawęd i podań kurpiowskich — słowem, całego materiału etnograficznego, którego okrucy podałem obecnie. Do zebrania tego wszystkiego trzeba wiele lat pracy, mam jednak nadzieję, że nim przez puszcę będzie szła kolej i szosa, któremi przyjadą letnicy, to jeszcze wiele ciekawych rzeczy da się uratować od zagłady.



Z NASZEJ TURYSTYKI.

Maryusz Zaruski.

Giewont.

2. Przez Wrótkę popod grani. Trudność $\frac{3}{10}$.

Z Kalatówek idziemy ścieżką zakosami na Przełęcz Białego (1310 m.), od której zwracamy się w kierunku południowo-zachodnim i za znakami niebieskimi, częścią granią, częścią popod granią dążymy do Wrótek (inaczej Szklana Brama) (ok. 1475 m.). Jest to wcięcie w grani, utworzone przez dwie pionowe kilkunastometrowe ścianki, istotnie podobne do bramy zamczyńska. Wrótkę obchodzimy po prawej (północnej) stronie, a dalej (już bez znaków, które skończyły się na Wrótkach) wznosimy się szeroką trawiastą granią aż do wielkiego rozwartego wcięcia (Szeroki Karb), poza którym zaczyna się ściana głównej grani Giewontu. Spostrzegamy tu po lewej (południowej) stronie kilkumetrowy komin, którym bez trudu schodzimy na piargi i złomiska, leżące bezpośrednio pod ścianą. W pobliżu tkwią małe turniczki i igły. Od tego miejsca kierujemy się po stoku Giewontu, który tu ma znaczną pochyłość, na połud. zachód, wprost ku Szczerbie, starając się utrzymać w jednej odległości od ściany głównej grani. W pobliżu Szczerby otwiera się przed nami rodzaj poziomego wąwozu skalnego, (Koryto), którego dno usłane jest piargiem. Wąwóz ten zostawiamy na lewo i idziemy upłazem ponad prawym brzegiem Koryta. Przewinąwszy się parokrotnie pomiędzy kosówką, wchodzimy na Szczerbę. Stąd możemy wejść na grani „Długą”

Giewontu, właściwie na jego wschodni wierzchołek drogą, podaną w poprzednim rozdziale, albo na wierzchołek główny. Obchodzimy tedy turnię szczytową po stronie południowej i wstępujemy na ścieżkę, wiodącą z Hali Kondratowej, którą podążamy na szczyt. Z Kalatówek 3 godz. Z Zakopanego $4\frac{1}{4}$ g.

Uwaga. Do Wrótek możemy dostać się z Kalatówek inną drogą.

B. Zamiast iść, mianowicie na Przełęcz Białego, a potem granią, możemy od szalasów skierować się na południowy zachód w szerokie koryto, utworzone z jednej strony przez U-

plaz Kalacki, z drugiej przez Turnię Kalacką. Jest to Suchy Żleb, którym bez trudu wchodzimy na grani bezpośrednio przed Wrótkami.

C. Na Przełęcz Białego również można wejść z innej strony, z Doliny Białego wygodną ścieżką, która zaczyna się w głębi doliny, tam, mianowicie, gdzie potok przepływa bezpośrednio pod ścianą turniczki, stojącej w punkcie rozgałęzienia się doliny na dwie odnogi. Zaraz za turniczką zaczynają się znaki czerwone, które prowadzą ścieżką w głąb lasu — i dalej na przełęcz (od turniczki ok. $1\frac{1}{4}$ g., od ujścia doliny ok. $1\frac{3}{4}$ g.). Pamiętać należy, iż na końcu Hali w Białym ścieżka rozwidła się: na prawo prowadzi do Doliny Strążyskiej, na lewo, pod ostrym kątem, zwraca na Przełęcz Białego.

D. Na „Szeroki Karb” w grani również wejść możemy wygodnie wprost z Doliny Białego. Idziemy mianowicie jak wyżej do Hali w Białym. Tu zostawiamy na lewo zakręt ścieżki, prowadzący ku Zamczkom, na Przełęcz Białego i zwracamy się w stronę Wolarzyska (inaczej Przełęcz Czerwona) przekraczamy strumień i parę dziesiątków metrów wyżej, w lesie skręcamy na lewo, kierując się po stoku Suchego Wierchu wprost na południe. Niebawem ścieżka urywa się. Trawiastą tedy, pokrytą młakami równią wznosimy się dalej aż pod samą ścianę Giewontu. Tu na lewo, wskos ku górze, otwiera się szerokie ogromne koryto, które nas łatwo wyprowadzi na grani w pobliżu (poniżej) Szero-



GIEWONT OD PÓŁNOCNEGO WSCHODU. DRÓGA GRANIĄ.



GIEWONT OD POŁUDNIOWEGO WSCHODU. DROGA GRANIĄ I POPÓD GRĄŃ.

kiego Karbu. Od turniczki w głębi Doliny Białego $2\frac{1}{3}$ godz., z Zakopanego $3\frac{1}{4}$ godz.

3. Przez Wrótkę granią. Trudność $\frac{5}{10}$.

Do Szerokiego Karbu jak w poprzednim rozdziale. Tu mamy do pokonania pierwszą poważniejszą trudność. Po boku grani wspinamy się na wielką pochyłą płytę, z której bierzemy dwumetrową przewieszkę (ekspozycja); dalej na samej dość szerokiej, ale stromej i ściętej na dwie strony grani, wspinamy się trawnikami na „Bulę”, znajdującą się już na linii Długiej Grani. Od Szerokiego Karbu do Buli można iść inaczej. Z Karbu mianowicie schodzimy na prawo (na północ) kilka metrów, poczem tuż pod ścianą zwracamy się na lewo, na długi trawiasty zachód, którym dążymy już bez przerwy na Bulę. Eksponowany ten zachód na wstępie jest węższy i stromszy, dalej staje się wygodniejszy, jakkolwiek ekspozycja jego nie zmniejsza się wcale.

Z Buli schodzimy bystro trawkami do głębokiego wcięcia, któremu, w przeciwieństwie do Szerokiego Karbu, nadałem nazwę Karbu Ostrego. Tu w dużej ekspozycji parometrowy trawers na prawo, poczem wielkimi trawiastymi stopniami również stromo wznosimy się na grań. Od tego miejsca grań mało urozmaicona, prawie pozioma wiedzie nas na zachód, najwyższy jej kraniec, zwany Długim Wierchołkiem. Na całej niemal przestrzeni grań ta jest silnie eksponowana, nieustannie przetykana trawkami, wśród których tu i owdzie rośnie niska malutka kosówka. Asekuracja zapomocą liny, przeważnie „z ręki” jest dość iluzoryczna. W pobliżu środka grani znajduje się ciekawy pionowy komin po stronie południowej, prawdziwy komin, bo zamknięty ze wszystkich stron.

Z Długiego Wierchołka schodzimy jak w poprzednim rozdziale. Parę dziesiątków metrów granią, trawkami na zachód, poczem ściana urywa się. Nie dochodząc do tego miejsca, spostrzegamy strome trawniki na lewo. Schodzimy tu wysokimi stopniami kilkanaście metrów, poczem między kosówką a ścianą „kozia percia” schodzimy na wschód, na obszerny upłasek, od którego zwracamy na zachód i schodzimy na Szczerbę.

Ze Szczerby albo trawnikami po stronie południowej szczytowej turni Giewontu, albo obszedłszy ją od południa, ścieżką, wiodącą z Hali Kondratowej (p. rozdz. 1) wstępujemy na szczyt. Z Kalatówek $4\frac{1}{2}$ godz. Z Zakopanego 6 godz.

4. Z Małej (albo Pustej) Dolinki na Szczerbę. Trudność $\frac{6}{10}$.

Minąwszy Siklawicę w Dolinie Strążyskiej, wstępujemy do Dolinki Małej, zwanej także Pustą. Idzie-

my nią pod same ściany Giewontu. Na lewo przed sobą mamy lśniący białością wapienia żleb, wiodący na Szczerbę; powyżej białego jego koryta, a mniej więcej na wysokości $\frac{1}{3}$ całego żlebu, widnieją strome, również białe płyty. Ku tym płytom dążymy po lewej (wschodniej) stronie żlebu trawnikami, które po jakimś czasie opuszczamy i idziemy, przekroczwszy żleb, drugą jego stronę, potem dnem żlebu lub trawnikami krawędzi. Podchodzimy w ten sposób pod płyty, o których wyżej była mowa. Bardzo często, latem nawet, te części żlebu przykryte są śniegiem, pozostałym z zimy. Są to resztki lawin, które spadły z Giewontu.

Gdy śniegu niema, przez parę niewysokich progów dostajemy się do wielkiej wnęki we wschodniej ścianie żlebu, tuż pod płytami. Płyta od krawędzi żlebu z lewej strony oddzielona jest wąską szczeliną, w której tkwią zaklinowane kamienie. Rysując się wyżej, dostajemy się na poziomy gzyms, który siecią gzymsików łączy się z bardzo stromymi trawnikami wznoszącego się nad płytami upłazu. W dużej ekspozycji, z niemalym trudem (i niebezpieczeństwem!) pokonywamy w ten sposób około 100 m. drogi i stajemy na trawnikach, dających możność swobody ruchów.

Owe 100 m. drogi, począwszy od wnęki, można osiągnąć inaczej: wstępujemy parę metrów poniżej wnęki na bardzo strome trawniki i nimi, przewijając się raz na prawo, drugi raz na lewo, wspinamy się wciąż w dużej ekspozycji (i niebezpieczeństwie) do miejsc dostępniejszych.

Stąd już bez trudu, w pewnym oddaleniu od kamiennego dna żlebu idziemy stromo trawnikami do podnóża ostrogi skalnej, którą wysła w tę stronę Długi Wierchołek Giewontu. Wznosi się tam malutka turniczka, u jej podnóża kopczyk z kamieni, postawiony przez nas na ostatniej wycieczce. Tu trawersujemy parę metrów w stronę żlebu z pod Szczerby i uszedłszy stromym trawnikiem jeszcze ze 20 metr., trawersujemy znów parę metrów po ścianie (powyżej „kozia perć”) na samo dno żlebu, którym, mając po lewej ręce pionową ścianę, wspinamy się ok. 40 m. Tu żleb spiętrza się bardzo,

natomiast na prawo, w stronę środka Szczerby, otwiera się przed nami dość szeroki, prosty i płytli żleb boczny. Żlebem tym wspinamy się bez większych trudności na siodelko w bocznej grzędzie, a stąd, po kilkunastu metrach trawersowania na prawo, osiągamy Szczerbę.

Od podnóża Giewontu 2³/₄ godz. Z Zakopanego 5 god. Widoki na tej drodze dzikie i groźne.

5. Żlebem pomiędzy Giewontem a Małym Giewontem. Trudność 4¹/₁₀.

Minąwszy Siklawicę w Dolinie Strążyskiej, idziemy, jak w poprzednim rozdziale, przez Pustą Dolinkę za czerwonymi znakami do miejsca, z którego otwiera się przed nami widok naciągające się na prawo, pod ściankami Małego Giewontu koryto, zwane Warzęchą. Korytem idziemy do połowy jego długości, do miejsca, gdzie z lewej strony, z boczego, wąskiego żlebu jak gdyby wysypuje się drobny piarg. Przekraczamy piarg, (opuszczając czerwone znaki), ale nie wchodzimy w ów wąski żleb, tylko na upłazek, znajdujący się niżej. Wznosimy się upłazkiem parę dziesiątków metrów, poczem zachodzikami trawersujemy pod ścianą i wkrótce

wchodzimy na siodło nad żlebem pomiędzy Giewontem a Małym Giewontem (żleb ten nazywany bywa także żlebem Kirkora). W roku ubiegłym urwana skała w turniach Małego Giewontu spowodowała lawinę kamienną, która zdarła cały upłazek wraz z percią, prowadzącą do żlebu. Obecnie zejście z siodła do żlebu jest znacznie gorsze. Wstępujemy do żlebu nieco wyżej (wyżej też od czerwonego koła, nakreślonego na skałe w żlebie) dość eksponowanym trawersem i odtąd bez większych trudności wznosimy się dnem żlebu, biorąc w paru miejscach niewysokie progi. Otoczenie tu piękne i dzikie. Od połowy żleb się rozszerza w obszerny lejek, rozwidlając się równocześnie na dwie odnogi. Idziemy odnogą prawą (bliżej ścianek Małego Giewontu), poczem łukiem stopniowo zakręcamy na lewo (na wschód) i niedaleko turni szczytowej Giewontu, w miejscu najdogodniejszym wchodzimy na grankę (Małego Giewontu), a kilkanaście metrów dalej na ścieżkę, wiodącą z Hali Kondratowej na Giewont.

Od Siklawicy w Dolinie Strążyskiej 3¹/₄ godz. Z Zakopanego 5 godz.

D. N.



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



W dniu 18-ym b. m. odbyło się miesięczne posiedzenie Sekcji Miłośników Warszawy Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego pod przewodnictwem p. Henryka Fukiera.

Odczyt wygłosił prot. Mikołaj Wisznicki p. t. „Przyczynki do życia Warszawy przed laty 80”. Opierając się na dokumentach tej epoki, prelegent w interesujący sposób przedstawił ówczesne stosunki wojskowe; poza tem odczytał z kilku numerów „Kurjera Warszawskiego” z r. 1832 najciekawsze ustępy, dotyczące życia naszego miasta. Odczyt wypowiedziany był w formie lekkiej i zajmującej różnorodnością przedstawionych obrazów z życia Warszawy przed laty 80.

Przezrocza, ilustrujące Starą Warszawę, dopełniły posiedzenia.

× Komisja wycieczkowa zapowiada na kwiecień dwie wycieczki zamiejskie z Warszawy: d. 5/IV — do Tarchomina, oraz 26/IV do Gucina i Wilanowa. Jako setną z kolei wycieczkę komisja uczci ją specjalną pocztówką „jubileuszową”. Obie wycieczki prowadzi p. M. Wisznicki.

Kwietniowe zebranie miesięczne odbędzie się d. 22/IV — z odczytem p. T. Wiśniowskiego „Restauracja katedry na Wawelu”.

+ W niedzielę d. 15 b. m., o godz. 5-iej po południu odbyło się miesięczne zebranie Oddziału Łódzkiego P. T. K. z udziałem 70 członków.

Zebranie otworzył prezes Zarządu Oddziału p. Jan Czeraszewicz, zakomunikowawszy zgromadzonemu, że porządek dzienny między innemi sprawami obejmuje odczytanie sprawozdania z działalności Oddziału Łódzkiego za okres pięcioletniej jego egzystencji, oraz sprawy bieżące, dotyczące wewnętrznej organizacji oddziału i sprawności poszczególnych jego sekcji.

Okres 5-ciolecia Oddziału zobrazował p. Konrad Fiedler, przedstawiając działalność poszczególnych sekcji w zależności od energii osób, które stały na czele sekcji, jak również w zależności od osiągniętych rezultatów i wykonania postawionych zadań. Jako stały objaw w życiu oddziału należy podkreślić z roku na rok wzrastającą liczbę członków, co niewątpliwie świadczy o tem, że praca i zadania oddziału znajdują oddźwięk i sympatię w mieście.

Prócz dotychczas istniejących sekcji powołano do życia sekcję miłośników przyrody, na czele której stanął p. Edward Korb, prezes Tow. Entomologów w Łodzi i członek zarządu oddziału. Jako wstęp do działalności tej sekcji i dla pobudzenia zainteresowania członków do badań nad zjawiskami życia w przyrodzie p. Korb wygłosił na miesięcznym zebraniu pogadankę „O owadach”, bogato ilustrowaną przezrociami.

Poświęciwszy kilka słów budowie anatomicznej owadów, prelegent w liczny szereg obrazów zapoznał słuchaczy z życiem trzech grup owadów, a mianowicie: tęgopokrywych (chrząszczy), błonkoskrzydłych i luskoskrzydłych (motyli). Zaznając

z rozwojem owadów, ich sposobem życia, miejscem pobytu i zwyczajami, p. K. jednocześnie wskazywał na ekranie osobniki pożyteczne w życiu przyrody i szkodliwe, tak dla świata zwierzęcego, jak i roślinnego. W opowiadanie swoje prelegent wplatał spostrzeżenia własne, jakie zdobył przy obserwacji drogą hodowli owadów, lub też powoływał się na przykłady i opinię sławnego francuskiego entomologa Fabre'a, który całe swoje życie poświęcił badaniu zwyczajów i obyczajów, oraz instynktów świata owadziego. Jako nowe zamierzenie na przyszłość postanowiono, by wspólnymi siłami sekcji: wycieczkowej, fotograficznej i miłośników przyrody zebrać potrzebny materiał i odtworzyć uroczne zakątki okolic Łodzi w obrazie i słowie. Próby w tym kierunku rozpoczęto już na wtorkowym zebraniu towarzyskim, na którym były poruszane przez p. Fiedlera tematy, zaczerpnięte z ostatnich wycieczek i utrwalone w zdjęciach fotograficznych.

× W celu wyboru nowego Zarządu d. 11 stycznia odbyło się ogólne zebranie Oddziału Piotrkowskiego, w drugim terminie; zebrało się zaledwie 33 osób mających prawo głosować. Na przewodniczącego naradom zaproszono jednogłośnie p. sędziego Cezarego Jachimowskiego, a do prowadzenia protokołu p. sędziego Jana Cholewickiego.

Po odczytaniu przez sekretarkę Oddziału sprawozdania z działalności Oddziału za r. 1913, a przez skarbnika—stanu kasy, oraz projektowanego budżetu na rok przyszły—przystąpiono do wyboru nowego zarządu przez tajne głosowanie. Wynik wyborów był następujący: wybrano p.p. Jana Cholewickiego, Halinę Jaroszewską, Cezarego Jachimowskiego, Karola Konowicza, Maryę Matuszewską, Jadwigę Nestorowiczównę, dr. Karola Rotherta, Feliksa Stronczyńskiego, dr. Jana Truszkowskiego i Michała Rawitę Witanowskiego — ostatni został ponownie prezesem. Do komisji rewizyjnej zaproszono: Jana Bieńkowskiego,

Jana Glassera i Stanisława Rudzkiego. Omawiano następnie działalność poszczególnych komisji—jak np. Popularyzacji Wiedzy Krajoznawczej, Odczytowej, Fotograficznej, Wycieczkowej, Muzealne, polecając do prowadzenia najodpowiedniejsze osoby z pośród członów.

Następne miesięczne zebranie odbyło się w dniu 15 lutego — w sali Tow. Rolniczego ze względu na spodziewaną większą liczbę osób, dla których przyjętą miał być odczyt p. Tytusa Jemielewskiego p.t. „Wieś Polska“. I nie zawiodła nadzieja tych, którzy gościnnie użyczoną salę wypełnili. Odczyt dla mieszczuchów był istnem tchnieniem wioski, niosącym orzeźwiające powietrze od świeżo zoraonej plugiem oświaty gleby ojczystej. Znać było w słowach prelegenta, że to, co mówi, odczuł sercem szlachetnem, podpatrzył okiem, nie zaciemnionem jakąbądź partyjnością, i przed oczami słuchaczy roztoczył obraz nie wymarzony, lecz prawdziwy — rwącego się do oświaty i wyzwolenia ekonomicznego ludu naszego.

Po odczycie odbyło się krótkie posiedzenie Towarzystwa; omawiano na niem parę komunikatów Centrali, dotyczących sprawozdania rocznego, przyjęto na współlokatora Tow. Wstrzemięźliwości „Przyszłość“; rozpatrywano nadesłane ze Szwecyi plany i przewodniki do projektowanej wycieczki „za morze“. Na zjazd kwietniowy w Warszawie delegowano p.p. — inżyniera Matuszewskiego i dr. K. Rotherta. Na wniosek przewodniczącego uczczono przez powstanie pamięć zmarłej członkini — ś. p. Heleny Nowickiej — oraz odczytano spis przyjętych na członków 7 osób, nazwiska ich ogłaszając następnie w piśmie miejscowem.



Od Administracji.

Prosimy sz. prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał II.

TREŚĆ: *S. Matusiak* — *Comber* (c. d.). Zbiory polskie. *B Janusz* — Zbiory Franciszka Jaworskiego we Lwowie (z 1 ryc.). *Eugeniusz Frankowski* — Niedziela palmowa w kotlinie Sądeckiej (z 1 ryc.). *Adam Chętnik* — Z Zielonej Puszczy (dok.) Z naszej turystyki. *Maryusz Zaruski* — Giewont (z 2 ryc.). — Z Pol. Tow. Krajoznawczego. — Poza tekstem: Drużyna weselna w kotlinie Sądeckiej. — Wkładka: Brzeg Niemna przy półwyspie birsztąńskim.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwieć.**